



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

Jan Pankiewicz.

Któż bardziej, niż młodzież, powinna cenić i szanować ludzi, którzy pracę całego swego życia poświęcili kształceniu i wychowaniu dorastających pokoleń. Oto przed dwoma tygodniami umarł w Warszawie najsejdiwszy z pedagogów naszych, ś. p. Jan Pankiewicz, którego uczniem był pewnie nie jeden z ojców i dziadków obecnych czytelników „Wieczorów Rodzinnych.”

Jan Pankiewicz, urodzony w Kopytowie w gub. Lubelskiej dnia 22-go grudnia 1816 r., w r. 1825 oddany został do szkoły wydziałowej w Hrubieszowie, skąd w r. 1829 przeniósł się do gimnazjum w Lublinie, gdzie skończywszy nauki udał się na wyższe studia do uniwersytetu petersburskiego i zapisał się na wydział fizyko-matematyczny.

W r. 1840 otrzymawszy stopień kandydata, odbył czteromiesięczną podróż na brzegi morza Białego i oceanu Lodowatego, przyłączywszy się do ekspedycji naukowej, wysłanej z polecenia Akademii dla badań geologicznych, botanicznych i zoologicznych.

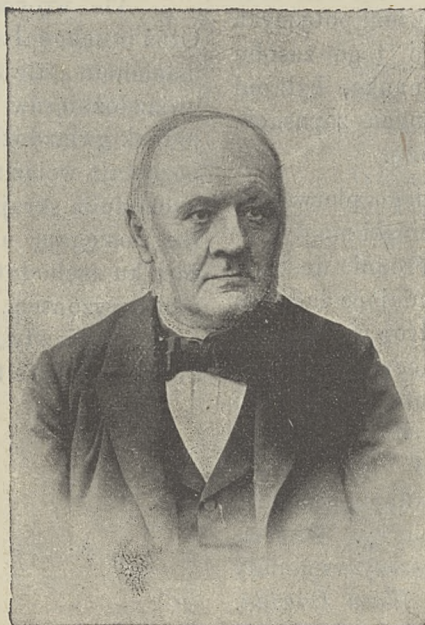
Od r. 1843 do 1873 przebywał w Warszawie kolejno, jako profesor i inspektor gimnazjum realnego, rektor gim. III-go, wreszcie inspektor progimnazjum pierwszego.

Opuściwszy służbę rządową w r. 1873 ś. p. Pankiewicz objął kierunek 6 kl. szkoły prywatnej klasycznej, przekształconej następnie na realną, i prowadził ją z całym zamiłowaniem i oddaniem się uczniom przez lat 18 t. j. do r. 1894, w którym złożył dyrektę w ręce profesora Trejdosiewicza.

Z tej szkoły, do której ś. p. Pankiewicz umiał dobrać zdolnych i sumiennych nauczycieli, wyszło w ciągu lat 18-tu 3189 uczniów, a niejedyn chłopiec ubogi, edznaczający się wyższymi zdolnościami i przymiotami moralnymi, dzięki jemu odebrał bezpłatne wykształcenie.

Oprócz zajęć pedagogicznych Pankiewicz był współpracownikiem Wielkiej Encyklopedyi Orgelbranda i przetłumaczył kilka lepszych podręczników naukowych z dziedziny chemii i matematyki.

Pogrzeb ś. p. Pankiewicza odbył się dnia 2-go maja bardzo uroczyście, a wzięło w nim udział cztery pokolenia wychowauców zmarłego.



Ś. p. Jan Pankiewicz.

Bawel Trzciniński.

POGADANKI Z ASTRONOMII.

I.

Jak tłumaczono ruchy ciał niebieskich przed Kopernikiem.

Prawdopodobnie każdemu z was zdarzało się dość często, czy to na przechadzce, czy też w podróży, znaleźć się na obszernej, odkrytej ze wszech stron przestrzeni, naprzykład na polu, lub na łące, w cichą księżycową noc letnią, kiedy cały strop nieba zda się płonąć tysiącami drzących, i migotliwych światełek, rozsianych, jak lśniące dyamenty, na tym wspaniałym płaszczu błękitów, pod którym spoczywa uśpiona ziemia, a który zowiemy firmamentem niebios. Czyście jednak przyjrżeli się wówczas baczenie owemu czarującemu obrazowi, czyście się zastanowili nad tem, czem są właściwie owe tajemnicze głębie, które nas otaczają dokoła,

czem są owe światełka drżące, owe drobnociuchne gwiazdeczki, co tak uroczo, a pognętnie uśmiechają się ku nam z oddali? Kto roznieca je i gasi? Czyja potężna wola rzuciła je w przestrzenie? Czy ruchy ich ulegają pewnym prawom, i jakim mianowicie? A jednakże dla umysłu badawczego, dla serca rozmiłowanego w pięknościach natury są to pytania nadzwyczaj ciekawe i pouczające, a głębsze ich rozważanie nasuwa cały szereg myśli zdolnych zawładnąć niepodzielnie duszą człowieka. Im bliżej poznajemy to piękno i ten ogrom natury, potężnej, a jednej i niezmiennej w swych prawach, jakkolwiek nieskończenie bogatej w objawach, z tem większą czcią i podziwem serca nasze wznoszą się ku Stwórcy, który Swą wolą wywołał z nicości wszystkie te cuda i dzieży je w swej Boskiej prawicy. Czcić i wielbić Boga, poznając cuda stworzenia, — to jedno z najszlachetniejszych zadań człowieka i ta właśnie zdolność — zdolność myśli rozumnej, która jest odblaskiem boskości, stawia go wyżej ponad wszechświat cały.

Nawet najstarożytniejsze ludy, których historia ginie w mroku wieków, starały się już poznać i zbadać owe piękne niebiosy, tajemniczości pełne. Pierwotni pasterze obszernych równin Chaldei, brami indyjscy, asyryjscy magowie, egipscy kapłani badający niebo z wierzchołków piramid i świątyń Memfis, mędrcy Grecyi i Rzymu, słowem cały szereg pokoleń, poczynając od wieków zamierzonych aż do dni naszych, składał i składać będzie nadal cegiełka za cegiełką na wspaniałą ów gmach, który zowie się wiedzą astronomiczną.

Początkowe obserwacje ruchów ciał niebieskich i w ogóle pojęcia astronomiczne starożytnych musiały być nadzwyczaj niedokładne, a częstokroć nawet zasadniczo błędne. Dziwić się temu nie należy. Pozbawieni potężnych środków narzędzi pomocniczych i całego tego zasobu faktów i badań, któremi dziś rozporządza nauka, byli oni pierwszymi bojownikami w tych szlachetnych zapasach, w walce z zazdrośną o swe tajemnice przyrodę.

Postawmy więc siebie w położeniu takiego pierwotnego badacza i przekonajmy się, jakie też wnioski mogły powstać w jego umyśle wobec zjawisk, bezpośrednio dostrzeganych na niebie. Jak dziecko, nie posiadające żadnych podstaw wiedzy, widział on tylko błękitny strop nieba, usiany milionami gwiazd, jakby stałe doń przymocowanych i zupełnie nieruchomych. Niektóre z nich świetniejsze aniżeli inne, łatwiej wrażały się w jego pamięć, tworząc pewne charakterystyczne grupy i figury. W celu łatwiejszego orientowania się, grupom owym czyli tak zwanym gwiazdozbiorom, nadawano pewne szczególniejsze nazwy. Oto na przykład tam w północnej stronie nieba, błyszczy wspaniałą gwiazdozbiór *Wielkiej Niedźwiedzicy* czyli *Wozu Dawida*. Znać go zapewne wszyscy, gdyż daje się on bardzo łatwo rozpoznać. Jak wiecie, gwiazdozbiór ten składa się z siedmiu świetnych gwiazd. Cztery z nich tworzą dość prawidłowy czworobok, a trzy znów pozostałe są ułożone w kształcie linii łamanej (Ogon Niedźwiedzicy). Jeżeli przez dwie skrajne gwiazdy czworoboczne Wielkiej Niedźwiedzicy (zaczynając od dolnej) nakreślimy w myśli linię i przeciągniemy ją na odległość pięć razy większą aniżeli ta, która dzieli te dwie gwiazdy, to natrafimy na niewielką gwiazdkę, która zowie się *Polarną* i należy do innego gwiazdozbioru, zupełnie podobnego do Wielkiej Niedźwiedzicy

z tą jeno różnicą, że jest on nierównie mniejszym, a gwiazdy są w nim ułożone w porządku odwrotnym. Jest to tak zwana *Mala Niedźwiedzica*, albo *Wóz Mały*. Oba te gwiazdozbiory należą do niezachodzących, a więc bywają widzialne na niebie w każdej porze nocy, w ciągu całego roku.

Niemniej znanym od powyższych jest olbrzymi gwiazdozbiór *Oriona*, który podczas zimowych wieczorów rozciąga się w południowo-wschodnich okolicach nieba. Trzy jego gwiazdy środkowe, ułożone w jednej linii, znane są pod nazwą *Trzech Króli*. W pobliżu tego gwiazdozbioru, nieco ku wschodowi, widzimy najpiękniejszą gwiazdę całego nieba, zwaną *Syrjusz*. Leży ona w gwiazdozbiórce *Wielkiego Psa*. Na samej *Drodze mlecznej*, w tem miejscu, gdzie się ona dzieli na dwie odnogi, łatwo się wyróżnia prześliczny, jakkolwiek niewielki gwiazdozbiór *Labędzia*, ułożony w kształcie krzyża z piękną gwiazdą pierwszej wielkości, zwaną *Daniel*, w pobliżu zaś, także na drodze mlecznej błyszczy jak brylant niebieski wspaniałą *Alsair*, najpiękniejszą gwiazdą w gwiazdozbiórce *Orla*. Z innych bardziej znanych gwiazdozbiorów wskażemy tu jeszcze gwiazdozbiory: *Woźnicy* z prześliczną gwiazdą pierwszej wielkości, zwaną *Capella* (Kozą); *Liry*, w którym błyszczy *Wega*, i wreszcie gwiazdozbiór *Wolanga* z płonącym żółtawym ogniem *Arkturem*.

Starożytni astronomowie podzielili całe niebo na kilkadziesiąt takich wyróżniających się grup gwiazdowych i to im dawało możność łatwiejszego orientowania się w poszukiwaniach. Dziś podział ten jest już prawie zaniechanym, a natomiast każda gwiazda posiada swój numer katalogowy; w potocznym jednak użyciu i w dziełach popularnych posiada on bezwarunkowo wiele stron dodatknych.

Ale wróćmy do naszego obserwatora pierwotnego. Otóż przekonał się on przedewszystkiem, że gwiazdy na firmamencie stale zachowują względne swe położenia i zarysy gwiazdozbiorów nie ulegają najmniejszym zmianom, same jednak gwiazdozbiory wraz z całym stropem niebieskim nie pozostają wciąż na jednym miejscu, ale po zjawieniu się na wschodnim skraju horyzontu, wznoszą się następnie ku górze, dosięgają najwyższego punktu swej drogi, potem zniżają ku zachodowi, a po zakreśleniu całego półkola nikną pod horyzontem. Miejsce ich na wschodzie zajmują tymczasem gwiazdy inne i t. d. A więc gwiazdy *wschodzą i zachodzą* zupełnie tak samo, jak słońce i księżyc.

(d. c. n.)

Antoni Lange.

B A Ś Ń

O ZACZAROWANYCH KRÓLEWICZACH.

II.

Powędrował w świat daleki,
Przebył morza, góry, rzeki,
Błądzi — błądzi dwa — trzy lata
Z końca świata, w krańce świata.

Był i w lodów wiecznym kraju,
 Był i w raj — i w wyraju —
 Aż gdzieś w państwie trzydziwiątem,
 Gdzieś w królestwie trzydziwiątem,—
 Za górami wysokimi,
 Za rzekami głębokimi...
 Dokonawszy mnogiej pracy
 Ujrzał pałac — cud pałacy!
 Niby gwiazda firmamentu,
 Zamek cały był z dyamentu,
 Cały tęczą zda się płonie,
 Lecz cudniejsza na balkonie
 Siedzi pani, gdyby róża.
 Przebóg! kto to? kto to? Róża!
 Krzyknął Sygoń zadziwiony.
 — Wędrowniku, z jakiejś strony,
 Wszedł do ziemi tej ponurej?
 — Jam jest Sygoń z Białogóry.
 — Masz ty pierścień z portretami
 Na poznanie między nami?
 — Oto pierścień! Masz go, masz!
 W nim jest twoja, Różo, twarz.
 — Witaj, witaj, miły bracie!
 Wiele lat czekamy na cię!
 Wieść to miła, wieść to nowa!
 Cóż tam u nas, król, królowa,
 Cóż tam ziemia Białogóry,
 Nasze lasy, nasze góry?
 — Ja po wszystkich końcach świata
 Jeżdżę, błędzę, dwa, trzy lata.
 Szukam siostr mych ukochanych,
 Przez potwory nam porwanych.
 Chcę cię unieść — uratować —
 I do domu powędrować,
 Na twej matki jasny dwór!
 Ale gdzież jegomość Tur,
 Twój małżonek — zwierz kudłaty,
 Bym go zabić mógł — za katy!
 — Nie, mój bracie ukochany!
 Mąż mój jest zaczarowany. —
 Nie zabijaj go na Boga,
 On mi drogi — jam mu droga!
 Nie zabijaj go, Sygoniu!
 On jest teraz tam na błoni, —
 Nad srebrzystym wód strumieniem,
 Gdzie się kąpie pod drzew cieniem.
 Postać tura wtedy traci,
 Jak i każdy z jego braci!
 Leć do niego z pokłonami,
 Może wróci razem z nami!

Leci Sygoń jak mu każą —
 Pod bawołów wierną strażą,
 Nad brzegami srebrnej wody
 Stoi piękny junak młody.
 Czarny włos — i czarny wzrok,
 Mężna pierś — junaczy krok.
 — Kto tam? kto tam? woła zdala,
 Aż zajęła srebrna fala.
 — Jam jest Sygoń! jam wasz brat —
 Jedź-że bracie, z nami w świat!
 Ledwie wyrzekł takie słowa,
 Wnet się piękny Junak chowa
 W skórę żubra straszliwego.
 I przemawia tak do niego:
 — Witaj, witaj, miły bracie,
 Wiele lat czekamy na cię!
 Póki na mnie zwierz skóra,
 Ach, nie dla nas Białogóra!
 A nie stracę jej dopóty,
 Póki ten czarodziej Luty,

Co nam porwał Lirę drogą!
 Raz nie zginie śmiercią srogą!
 Siostrę dola nam wydarła
 Ona jest w niewoli karła.
 Jej więzieniem gmach stalowy,
 Jej strażnikiem smok stugłowy,
 I dopóty w umęczeniu
 Siedzieć będzie w tem więzieniu,
 Póki młodzian jak opoka
 Nie zwycięży tego smoka.
 Zginie karzeł Matakira, —
 Wyzwoloną będzie Lira!
 Masz tu włosy — dwa z mej sierci,
 Kiedy będziesz bliski śmierci,
 Gdy się znajdziesz wśród natłoków,
 Niebezpieczeństw, widm i smoków
 Potrzyj włosy te o siebie!
 Wnet się zjawią koło ciebie
 Mych żołnierzy tłumy wierne
 Moich turów cmy niezmiernie.
 Teraz idź! Za siódmą rzeką,
 Hej daleko — niedaleko,
 Na wysokim szczycie gór
 Jest Sokoła jasny dwór.
 A za morzem — het — za morzem
 Nad szerokim, nad bezdrożem,
 Gdzie srebrzysta wody szyba
 Stoi zamek Wieloryba. —
 Teraz idź! Szczęśliwej drogi
 Niechaj zginie karzeł srogi!
 Może dłoń twa nas wybawi,
 Niechaj Bóg cię błogosławi.

I pożegnał siostrę brat —
 I pojechał znowu w świat,
 Poszedł w świat. Za siódmą rzeką,
 Hej daleko, niedaleko —
 Na wysokim szczycie gór
 Stał Sokoła złoty dwór.
 A za morzem, het, za morzem
 Nad szerokim wód bezdrożem,
 Gdzie lustrzana wody szyba,
 Stoi zamek Wieloryba.
 Sygoń naprzód dążył stale,
 Morz i rzek przepływał fale,
 I przez bory kroczył sine —
 Znalazł Lilię i Kalinę.
 Jasny Sokół tak jak Tur
 Dał ze skrzydeł dwoje piór,
 A Wieloryb z mórz głębiny
 Dał mu twarde dwa fiszbiny,
 Aby Sygoń pełny męstwa
 W razie walk niebezpieczeństwa,
 Mógł zawezwać dla obrony
 Ich poddanych legijony —
 Więc jastrzębie — sowy — sępy —
 I podmorskich sił zastępy.

(d. n.)

Trzęsienie ziemi w Shillong.

Dzień 12 czerwca 1897 r. zaznaczył się w dziejach strasz-
 nem trzęsieniem ziemi, mogącem śmiało iść w poró-
 wnanie ze słynnem trzęsieniem, które zniszczyło Li-
 zbonę w 1755 roku. Niewielką stosunkowo ilość zabitych
 i rannych zawdzięczyć należy temu, że trzęsienie nastąpiło
 w środku dnia i nawiedziło okolice słabo zaludnioną, mia-
 nowicie północną część prowincyi Assam, leżącej po obu



Kościół w Shillong przed trzęsieniem.

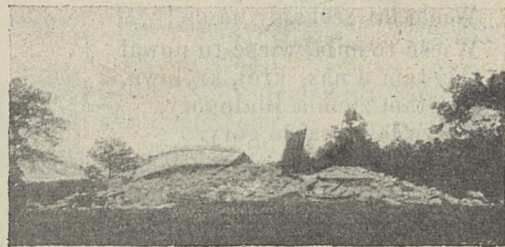
stronach rzeki Bramaputry w Indiach angielskich, między Bengalem i Birma.

Najwięcej ucierpiało miasteczko Shillong, które w ciągu trzech minut doszczętnie zniszczonem zostało. Cenione przez Anglików, jako stacya klimatyczna i kąpielowa, ścigała one, w porze upałów liczne grona turystów i kuracyszów; posiadała też oprócz rezydencji gubernatora, kościół, szkoły i szpitala, kilka hoteli, kasino i wiele pięknych willi. Wszystkie te budynki były murowane z granitu i marmuru i zdawało się, że przetrwają wieki. Tak było do godziny 5 minut 11 po południu owego nieszczęsnego dnia czerwcowego. O kwadrans na 6 po kilku strasznych wstrząśnieniach, wszystko runęło w gruzy, jak to widzimy na rycinach przedstawiających kościół przed i po trzęsieniu. Wśród tumanów kurzawy rozlegały się tylko krzyki przerażenia i jęki pokaleczonych. Za szczęśliwych uważać się możemy, że zamieszkujemy kraje, w których trzęsienia ziemi się nie zdarzają, a jeśli bywają, to bardzo rzadko i niezmiernie słabe. Kronikarze nasi a zwłaszcza Długosz podają wiadomości o trzęsieniach ziemi w Polsce w r. 1000-m, 1200-ym (15 maja), 1257-ym (31 stycznia), 1258-ym i wresz-

cie najsilniejszym d. 5 czerwca 1443 r., od którego runęło sklepienie w kościele św. Katarzyny na Kazimierzu w Krakowie i wielu innych budynków.

Z WYSTAWY KOTÓW.

U starożytnych Egipcyan kot domowy tak wielkiem darzony był uznaniem, że czczono go, jako bóstwo, i kara śmierci czekała każdego, kto by zwierzę to zabił. Szczególne to wyróżnienie, które wraz z kotem dzielił wół, ibis oraz kilka innych zwierząt, przypisać należy wielkim zasługom kota nad brzegami Nilu wobec niezwykłej ilości szczurów i myszy, które zagrażały wciąż zapasom zboża gromadzonym w szpichlerzach; koty więc, tępiąc myszy i szczury, zabezpieczały poniekąd dobrobyt ludności.



Kościół w Shillong po trzęsieniu.

Choć w Europie kot domowy, który wedle zdania przyrodników, właśnie od egipskiego pochodzenie swe wiodzi, nie cieszy się takimi względami, jednakże nie dzieje się mu i tutaj krzywda, skoro na równi z psem ze wszystkich zwierząt domowych najbliższym jest człowiekowi, i tak w bogatych pałacach jak i ubogich chatkach spotkać go można.

Często nawet bywa ulubieńcem nie tylko dzieci, których natarczywe pieszczoty mniej mu zapewne są miłe, ale i osób dorosłych, zajmujących się z upodobaniem jego hodowlą. Dowodem tego są dość często powtarzające się w ostatnich latach specjalne wystawy kotów, na które dostarczają ich hodowcy i amatorzy wiele pięknych i rzadkich odmian.

Ostatnia taka wystawa odbyła się tej zimy w Lipsku, gdzie z różnych stron świata nadesłano wielką ilość ciekawych okazów. Ogólną wszakże uwagę zwróciły śliczne z długim, puszystym włosem koty angorskie, należące do hodowcy z Monachium i przedstawione na rycinie naszej. Osobliwość ich stanowi to, że przy czarnym puszystym futerku, mają biały pyszczek, żabocik i przednie łapki białe, podczas gdy zwykle koty tego gatunku bywają całkiem białe. Nadzwyczaj rzadkim i mało rozpowszechnionym w Europie był kot z gór atlaskich (Algerya), spotykany niekiedy i wśród skał południowej Hiszpanii, dziwnie zrzeczny, i łatwy przytem do oswojenia.

Z pozoru, jak widzimy z rysunku, prędzej przypomina charcika, niż kota. Mówią, że jest niezmiernie zwinny, żywy i przyjemny, jako zwierzę pokojowe.

Ogólnie jednak o tych wystawach kocich powiedzieć trzeba, że mają więcej na względzie amatorstwo i zabawę, niż pożytek, w przeciwieństwie do wystawy inwentarza, koni i psów, gdzie zwracają głównie uwagę na zalety wystawianych okazów ze względu na wymagane od nich usługi. Tu nikt nie pyta: jak te koty dają sobie radę z myszami, i czy



Kot z gór Atlasu (w Afryce północnej).

potrafią ochronić gumna i szpichrze przed armią szczurów, bo hodowcom kotów chodzi tylko o piękne, rzadkiej barwy futerko i tym podobne cechy zewnętrzne.

Jan Niewdźyd

Powieść z dawnych czasów

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

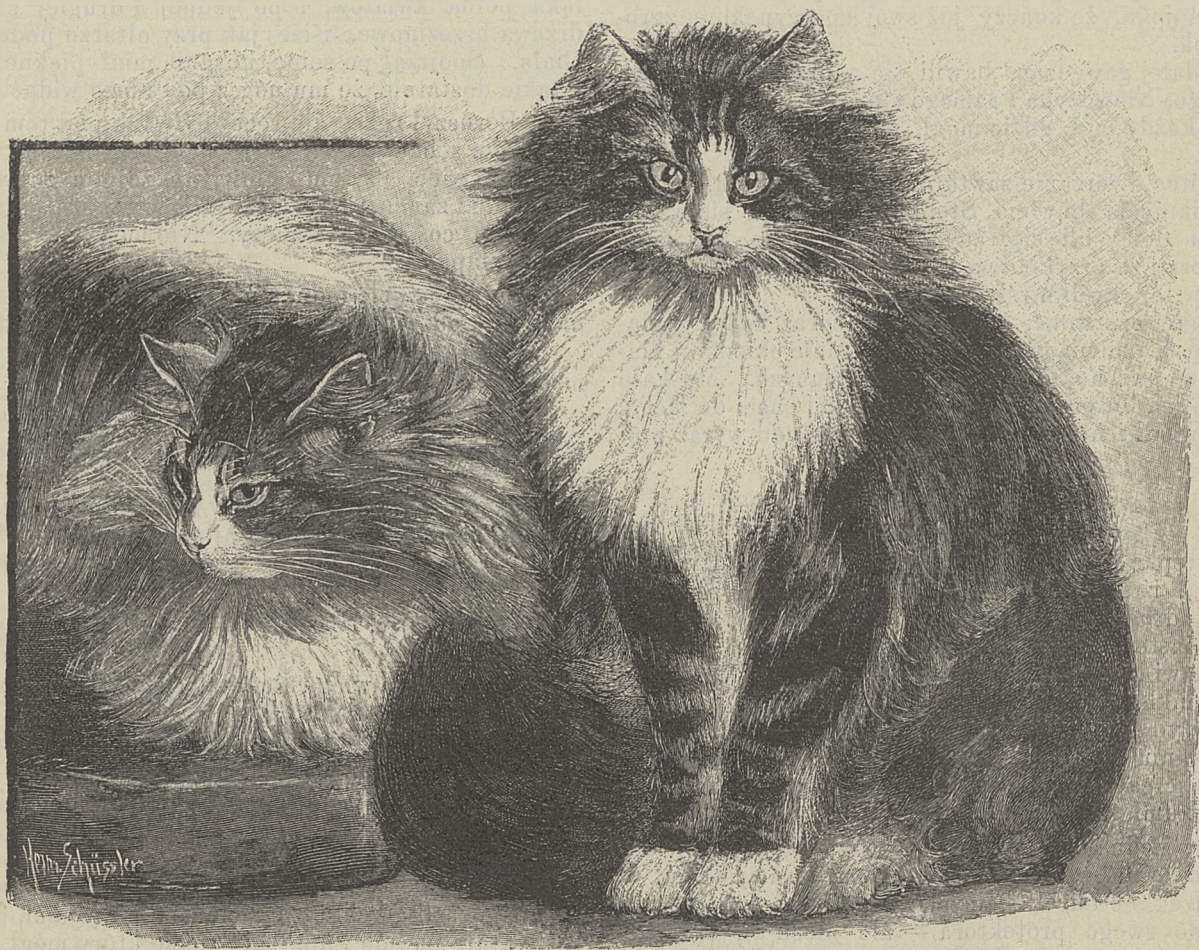
— Graj z nami, — zawołał Jacek, jeden z dworzan, który jakoś najwięcej przypadł do serca Niewdźydowi.

Niewdźyd nic nie odrzekł, jeno rozważał sobie i nasłuchiwał, co inni gadają, nie odzywając się do nich zgoła.

Na drugi dzień wczesnym rankiem wszedł pan podskarbi do izby, gdzie Niewdźyd wraz z innymi siedział przy pełnej misie barszczu z wędzonką. Na śmiechy i żarty współbiesiadników, chłopak odcinał się jak mógł i umiał, co mu wszakże nie przeszkadzało zmiatać doskonale smakowitego posiłku.

Śmiechów i żartów nie przerwało wejście podskarbiego, który jakkolwiek godność swoją niższym dworzanom umiał okazywać, czasem jednak był z nimi w zupełnej poufałości. Obecnie zaś byli tak pewni, że pan Stępka będzie ich przyjaźni potrzebował, że nawet wcale nie zwracali nań uwagi.

Wiedzieli już doskonale, że podskarbi dla jakichś spraw swoich a bodaj, czy nie ubocznej sprzedaży, skierował się ku karczynie na Rozdrożu. Tam wyjmując rozmaite węzełki, otworzył skrzynkę, w której były mieszki z pieniędzmi. Potem zalawszy sobie głowę, nie zamknął znać dobrze, a w drodze przez miasto wytrząsnął się mieszek, gdy wóz



Angory monachijskie.

Z Wystawy kotów w Lipsku.

— Nie mam pieniędzy! — odparł krótko.

— Widzicie głupiego — zawołał ktoś — znalazł cały wór dukatów, a grosza niema przy duszy!

— Nie mój był! — rzekł krótko Jasiek.

W miejsce odpowiedzi roześmiano się chórem, nie wyłączając Jacka i dalej grano w kości.

— Toć wy jeno próżnujecie a zabawiacie się — rzekł Niewdźyd do Jacka, gdy inni od gry wstali.

— A cóż ty myślisz, że będziemy harowali jak chamy! — odrzekł Jacek.

zaczął chylić się wśród licznych wybojów błotnistej ulicy. A chociaż dziwnym trafem mieszek ów odnaleziono, domysłano się jednak, że starosta zmyje głowę nieuważnemu dworzaninowi.

Cieszyła się więc młodzież, że się będzie mogła zabawić kosztem skonfundowanego według ich mniemania, podskarbiego. Zaraz też znany nam już Jacek chciał go ugodzić dowcipnem słówkiem, lecz ujrzawszy rozpogodzoną twarz Stępki, trącił tylko łokciem najbliższej siedzącego towarzysza i dowcip wraz ze szperką połknął.

Podskarbi zaś tak był rozradowany i zajęty swemi myślami, że nie zwrócił nawet uwagi na śniadających. Spojrzał tylko na Niewdzyda i zawołał:

— Pójdź za mną!

Chłopiec, chociaż dopiero jeść zaczął i żał mu było odchodzić od misy, położył jednak łyżkę i pobiegł za wychodzącym spiesznie Stępka.

— Dobrze, że go zawołano, tak się uwijał przy misie, że byłby nam wszystkie sperki wyłowić — rzekł któryś, niosąc łyżkę żuru do ust.

— Pan podskarbi znalazł nową dudkę, w którą będzie dał po myśli starosty — mówił, uśmiechając się Jacek, wynagradzając sobie połknięty dowcip.

— Uhum, jeżeli dudka pusta, to mu się uda granie — odrzekł Dyzma, ogryzając kość, którą właśnie trzymał w ręką.

— A jeżeli dudka pełna? — zapytał inny.

— To się sam wystrychnie na dudka — dodał, śmiejąc się Jacek.

Wtem głośnie chrapanie doszło do ich uszu.

— Hej, a to nie duda ale cała trąba grać poczyna! — zawołał Dyzma.

— Cicho ty tłusty połciu, toć nasz jaśnie wielmożny starosta oznajmia, że kończy już swój spoczynek! — zgromił go Jacek.

I tak dalej gawędząc, bawili się naprzemian kosztem podskarbiego, Niewdzyda i samego starosty, aż gdy wypróżnili misę, każdy legł gdzie mógł, aby po śniadaniu odpocząć.

I wkrótce dworzanie zawtórowali swemu panu.

Ze zniknięcia bowiem Stępki i uciszenia się wszelkiego gwaru domyślili się, że starsi dworzanie, tak samo jak i oni, poszli za przykładem pana i o wyjeździe w dalszą drogę nikt w tej chwili myśleć nie będzie.

A słońko czerwone, wzbijając się coraz wyżej, zaglądało złotemi promieniami przez otwarte małe okienko i kładąc swe jasne światło, muskało twarze śpiących. Muskało i dziwiło się ich bezmyślności, a co gorzej chęci do złego, do którego wiódł ich przykład z góry i życie nad wyraz próżniacze.

III.

Pan Stępka posunął dobroć swą dla Niewdzyda do tego stopnia, iż sam osobiście poszedł z nim do płynącej o kwadrans drogi strugi i kazał mu się wykąpać. Potem wrócił do miasteczka i zdziwionemu tą dobrocią imć panu balwierzowi kazał długie włosy Niewdzyda nieco obciąć i w piękne pukle ułożyć.

Niewdzyd rad był z tego bardzo, pilnie baczył tylko przy wdziwaniu bielizny, której mu pan Stępka dostarczył, aby nie uronić papierów, które mu matka jako dokumenty szlachectwa, umierając oddała.

Dziwiło jednak chłopaka, że ten pan taki dobry nie rzekł prawie do niego ni słowa, jeno szedł w zamyśleniu.

— Nurek, bo nurek — myślał Niewdzyd, rozważając sobie dobroć swego protektora — ale niech ta, taka już widać jego natura.

Za powrotem, Stępka wyjął z podróżnej szkatuły duży cynowy kubek, nalał weń miodu, dolał jeszcze coś z mniejszej butelki i rzekł:

— Na, wypij, przybędzie ci z tego mocy, ba, i gładkości której ci brakuje!

Niewdzyd wziął w obie ręce kubek, pociągnął z niego, lecz odjął go zaraz od ust i rzekł:

— Oj, takie tęgie!

— Toś ty taki i szlachcic, kiedy miodu się boisz! — rzekł Stępka.

Chłopiec spojrzał nań wielkimi oczami.

— Pij głupcze! — zawołał podskarbi. — U nas taki obyczaj, że każdy nowo wstępujący dworzanie musi kubek wychylić! — dodał.

Niewdzyd spojrzał raz jeszcze na podskarbiego, po-

tem trzymany w rękę kubek wychylił do dna jednym wielkim haustem i postawił na stole.

— Ot, tak, dzielnie, niema co mówić! — rozśmiał się podskarbi.

I wyszedł szybko, zamykając drzwi za sobą na zapórę.

Jasiek zdziwił się w pierwszej chwili, że go zamknięto, wkrótce jednak poczęło mu się mącić w głowie i sam nie wiedział, kiedy runął jak długi na ziemię i zasnął snem twardym.

A musiał to być sen nie lada, bo nie słyszał wejścia podskarbiego, który w dalszym ciągu posuwał swą łaskę ku niemu i własnoręcznie go ubierał przy pomocy tylko jednego pacholka, który przy tej operacji śmiał się wciąż w kułak, aż mu oczy łzami zachodziły.

Gdy się Niewdzyd obudził i długim ziewnięciem obudzenie to objawił, usłyszał śmiech dokoła i ujrzał gorejące dokoła pochodnie.

Przetarł oczy i sam nie wiedział, czy śpi jeszcze i śniąc mu się niestworzone rzeczy, czy też coś dziwnego z nim się stało.

Siedział bowiem na wysokim krześle z poręczami; na podłodze leżał wzorzysty kobierzec, jakby najśliczniejsza łąka pełna kwiatów, a po jednej i drugiej stronie stały drzewa brzeziniowe, iście jak przy ołtarzu podczas Bożego Ciała. Spojrzał po sobie, ubranie miał piękne, czerwone, a takie dostatnie, że mu nóg z pod niego widać nie było.

Poruszył ręką, ale ręce były tak pod tem dostatniem ubraniem schowane, że aż się zląkł, czy mu ich nie odcięto. Zląkł się więc, czy mu i głowy nie zdjęto; zdawało mu się bowiem, iż zamiast głowy ma jakiś ciężki rozpalony kamień, w którym coś szumi i huczy. Nie mógł się w tem wszystkim połapać.

Udało mu się jednak wydostać ręce z pod dostatniego ubrania, podniósł je do góry i pomacał się po głowie.

— Aha, mam głowę, ale i jakąś czapkę na niej... — mruknął.

Śmiech się wzmagał coraz głośniejszy i przyprowadzał powoli do przytomności odurzonego i nie wiedzącego co się z nim dzieje, Niewdzyda.

Spojrzał dokoła na poły osłupiałemi oczami, i przy kopających pochodniach począł poznawać starostę, podskarbiego i inne twarze, które przypominał sobie, że przecie gdzieś widział.

Cheiał zejść, ale poczuł, że jest przywiązany do poręczy krzesła.

Targnął się więc całą siłą, chcąc trzymające go więzy potargać.

Wtem ujrzał, że starosta i wszyscy obecni kłaniają mu się, a podskarbi, śmiejąc się, zawołał:

— Niech najjaśniejszy pan tak się nie szarpie, bo mu korona spadnie.

A inni wołali:

— Najjaśniejszego pana jakaś gorącość pali.

I poczęli go chłodzić zielonemi gałęziami, nie patrząc, gdzie która padnie i uderzali, gdzie który mógł.

Niewdzyd opędał się oswobodzonemi z pod szerokiej opończy rękami, łamiąc przytem owe gałęzie i rzucając nimi na ten dwór niesforny.

— Oho najjaśniejszy pan widzę, wpadł w szaleństwo! — zawołał Dyzma, i z sikawki skleconej z wywierconego lipowego kolka puścił nań strumień wody.

Teraz już nie śmiechy, lecz szalona wesołość ogarnęła wszystkich. Każdy się silił na dowcipy, wołano więc dokoła

— Może jego jasności ciemno! i przybliżano kopające pochodnie.

20 czerwca

PAMIĘTNIK STEFANA

przepisała

A. Sadowska.

15 czerwca 189.



Dwunasty rok już kończę, nie jestem jeszcze w gimnazyum, lecz uczę się w domu, mam dwóch braciszków i dawno już postanowiłem zapisywać codzienne wypadki z mojego życia, lecz życie to było takie spokojne, jeden dzień do drugiego tak podobny, a przytem tak mi się nie chciało wiać do roboty... Aż tu dziś wchodzi tatuś i mówi: „Dzieci! już napewno pojedziecie z mamą do cioci.” Ach!

jak ja się też ucieszyłem. Ciocia mieszka w gubernii Podolskiej, tam góry, różne jary, parowy... Braciszek mój Józio zaraz zaczął deklamować:

Tam kraj cały jednym lanem...

a mały Karolek klaskał w rączki i wołał: „Będę jadł winogrona, morele! ciocia mi uszyje czapraczek dla kucyka i będę gospodarował z wujaszkiem...” Jaki on śmieszny! on będzie gospodarował? ale dzieciom trzeba wiele dawać, bo gdybym ja to mówił, no, przecież ja mogę już być pomocą; ludzi trochę w robocie popilnuję, ale oni! taki malec...

A więc od dziś, gdy życie moje tak się zmienia, zaczynam pisać dziennik. Do widzenia, panie Edwardzie już nie będziesz przychodził o piątej na *korke*, gdy największa ochota do zabawy. Do widzenia Fraulein Bertha! nie będę już pisał dyktanda — hab schon genug, tylko panna Julia z nami jedzie i trzeba będzie: parler français — w drodze... bo potem kto mnie tam złapie...

17 czerwca.

Co za nieporządek, hałas, krzyk!.. Wczoraj żegnałem się z nauczycielami, pakowałem książki, (postaram się jaknajwięcej w szafie zostawić) robiłem sprawunki; więc kupiłem sobie pyszny scyzoryk za rubla z kilku ostrzami, potem wędkę z podwójnym haczykiem, bo pewno będę mógł w stawie ryby łowić, a jak ja to lubię! oj! aż strach jak się cieszę!... dalej: gwizdawkę, bo psy mogłyby mnie nie poznać w nocy, nie usłyszeć wołania i nadszarpnąć niezbędną część ubrania, no! musiałem też kupić brulion, kilka kajetów, ale kiedy je tam zapiszę. Ach, jak to miło nic nie robić! szczęśliwi ci dorośli! siedzą, rozmawiają, oddają wizyty, a ty biedny człowieku nie widzisz końca tej nauki! Wprawdzie tatuś chodzi do bióra, a kiedyś też się uczył... ale w biurze to nie uczenie się przecie, chociaż podobno zajęcie trudne i męczące. Ach! pracować i pracować, tatuś mówi, że bez pracy człowiek nie wiele wart, i to pewno prawda, ale i wakacje dobre, oj dobre!..

Mam nowiutkie płócienne ubranie uczniowskie, słomiany kapelus, wszystko to sprawił mi tatuś, a mama mówi, że do konnej jazdy potrzebne buty z cholewami, pewno mi kupi... Józio wciąż mnie zarzuca poezjami, czyta, to znowu deklamuje, właśnie mam czas na słuchanie, a Karolek upiera się, żebym mu zabierał różne graty, przecież tam będzie ogród, będą owoce, konie, las, bryczka, to najlepsze zabawki, a bacików natnę mu z gałęzi (nowym scyzorykiem) ile zechce...

Jutro o trzeciej po południu wyjeżdżamy, dziś idziemy na obiad do babci, a jutro zjemy tam gorące drugie śniadanie. Babcia dała Józiovi książeczkę z poezjami Lenartowicza, Karolkowi taczki, grabie i szpadelek, a mnie trzy ruble. Dobrze — przydadzą się na wydatki w drodze.

Cieszę się na tę podróż szalenie, żal mi tylko ojca, że tak tu sam zostanie. Upał, duszno, a on będzie wciąż do biura chodził i pracował na nas... oj! trzeba prędko się uczyć, aby dorósłszy być mu pomocą... Ktoś dzwoni... list od cioci ze wsi, prosi o różne sprawunki, trzeba zaraz iść z mamą na miasto, bo któż się tam zajmie, jeśli nie ja?...

21 czerwca w wagonie.

Nie wygodne te wagony! wzdłuż ciągnie się wąski korytarzyk i z niego prowadzą drzwi do każdego przedziału, my mamy dla siebie osobny, ja wciąż biegam i wyglądam przez okno. Józio siedzi u tatusia na kolanach, Karolek ogląda popielniczki poprzybijane w wagonie. Ojciec odwozi nas do połowy drogi...

Dziś rano po śniadaniu u babci, wybiegłem jeszcze na chwilę na ulicę, aby sobie kupić kilka marek pocztowych, bo tam pewno trudno o nie, a nuż wypadnie pisać do kogo. Oj! przydałyby się rewolwerek, bo droga kołmi długa, może niebezpieczna, a ja jedyny obrońca... cóż kiedy za szczupłą mam kasę. Karolek mówi, że strzeli z kapiszona, to złodziej się złęknie i ucieknie, ale ja wątpię, bo te kapiszony strzelają tak cicho... Trzeba się obejść bez broni, dużo odwagi i koniec. Ależ jak tu niewygodnie pisać! przestane, bo właśnie stacya, zobaczę z czyjej strony: z mojej czy z Józia. My mężczyźni t. j. tatuś i ja wysiadamy na stacyach, panie i dzieci zostają w wagonie, ktoby tam z nich na czas zdążył...

22 czerwca.

Dość tej drogi! duszno, gorąco, wcale spać nie można, gdyż w Kowlu trzeba się w nocy przesiadać. Tak niewygodnie — zjadłem już tyle karmelków, pić chce się okropnie... W Koziatynie tatuś nas żegna, doprawdy wróciłbym się z nim chętnie, aby tak sam jeden nie pozostawał...

24 czerwca.

No, jestem na miejscu! Wczoraj nie pisałem, bo byłem okropnie zmęczony. Ciocia na nas czekała. A co za droga kołmi! co za droga! nie! u nas nie uwierzą, gdy zaczę opowiadać. Ale muszę wszystko porządkiem opisać. Otóż w Koziatynie znów trzeba się było przesiadać, ale pociąg krótko stoi, więc zaledwie był czas na zjedzenie obiadu, tatuś umieścił nas w wagonie, uściskał, a tu drugi dzwonek się odzywa, mama ściska, całuje tatkę, my go za ręce chwytny, Józio płacze, Karolek się krzywi, ja trzymam się mężnie, nawet staram się mamę pocieszać, więc mówię że: Sierpień nie długo i że tatuś prędko do nas przyjedzie... i fiuu!... gwizdawka, pociąg rusza, wychylamy się, kłaniamy, powoli tatuś znika nam z oczów i na mnie spada obowiązek czuwania nad rodziną. Panna Julia bardzo nam jest użyteczną w drodze, bawi dzieci, wyręcza mamę, usługuje, ale na stacyach na mnie liczą, to też u celu naszej podróży, pobiegłem zaraz dowiedzieć się, czy są konie dla nas. Panie z dziećmi poszły do pokoju damskiego, aby tam trochę odpocząć, ja zaś, zamówiwszy cztery porce mięsa, poszedłem szukać powozu i koni, i dowiaduję się, że wszystko jest, a w dodatku bryczka pod rzeczy, ale daleko w oberży. Posyłam tam posłańca (co prawda to już mamusia to zrobiła, bo była niespokojna o mnie i nadeszła) i poszliśmy coś zjeść. Karolek ciągle się napierał poizomek, trzeba mu było tłumaczyć, że to za droga rzecz na stacyi, Józio znów chciał herbaty to, znów piwa. Ach! z temi dziećmi, co ja mam kłopotów! Pyszna jest panna Julia, nie umie ani słowa inaczej jak po francuzku, a chce dowodzić i rozkazywać. „Pays de barbares” mówi, gdy jej nie rozumieją.

Zjadłem prędko mięso i wychodzę, wtem słyszę dzwonek, co to może być? aż tu zajężdza powóz, zaprzężony

Ś. p. Stanisław Kierbedź. — Manna na puszczy.

Któż, przejeżdżając przez wspaniały most żelazny, łączący Warszawę z Pragą, nie zapytał, kto też podał plan, wyliczył rozmiary i był głównym wykonawcą tego wielkiego mostu, liczącego około $\frac{3}{4}$ wiorsty? Otóż ten, któremu zawdzięczamy postawienie tego mostu w latach 1859 — 1864, był, zmarły przed kilku tygodniami w Warszawie, znakomity inżynier, Stanisław Kierbedź. Urodzony w gub. Kowieńskiej w r. 1810, ukończył szkołę Pijarów w Poniewieżu, potem wydział fizyko-matematyczny uniw. wileńskiego, wreszcie Instytut Komunikacji w Petersburgu. Prócz mostu na Wiśle zbudował poprzednio pierwszy stały most na Newie, i jako wysoki dygnitarz w ministerjum komunikacji, brał udział w wielu ważniejszych przedsiębiorstwach kolejowych.

Nietylko błakającym się po puszczy Izraelitom służyła manna za pokarm, bo i dzisiaj koczownicze plemiona Arabów, znajdując niekiedy w wielkiej obfitości drobne te ziarenka i spożywają je chętnie jako zdrowe i pożywne. Znajdą mannę również mieszkańcy Sahary, południowego Algeru, Persyi i Mezopotamii. W obec tych warunków nie trudno było uczonym zbadać dokładnie charakter owych ziarenek, i dziś pewną jest już rzeczą, że manna jest roślinką należącą podobnie jak grzyby i t. p. do działu skryptocjowul, a w botanice nazwaną: *canonu esculentu* albo *lichen esculentus*.

Pojawia się ona w postaci kuleczek drobnych, niby krupy, o małych wyrostkach, zawierających masę mączystą. Istnienie jej bywa bardzo krótkotrwałe, bo gdy po deszczu lub obfitej rosie porannej zjawia się na ziemi, już pod pierwszymi promieniami słońca wysycha i niknie, łącząc się barwą z piaskiem pustyni. Wszakże przy odpowiednim zaprawieniu, w naczyniach zamkniętych, daje się dłuższy czas przechowywać. Zapewne z przyczyny tak niezmiernie krótkiego jej trwania uczeni nie zgodzili się dotychczas na oznaczenie warunków, w jakich ta osobliwa roślina rozmnaża się i wzrasta. W każdym razie pewnem jest, iż po wyschnięciu manny, zjawia się na piasku rodzaj pleśni podobnej do znanych nam białych plam, jakimi ziemia pokrywa się w miejscach, na których następnie przy odpowiednim cieple i wilgoci wyrastają grzyby, a o których zwykliśmy mówić, iż ziemia kwitnie. Przy sprzyjających warunkach, drobne ziarenka manny tworzą warstwy grubości od 2-4cm., a wtenczas zbiór ich nie przedstawia wielkiej trudności, kuleczki bowiem te nie łączą się przed wyschnięciem z ziemią.

Smak manny słodkawy i nieco grzybowy, przypomina litewskie kisiele. Świeżo zebraną mannę Arabowie rozgotowują na masę galaretową, którą następnie rozmaicie przyprawiają. Umieją ją wszakże ususzyć też w cieniu między dwoma skórąmi z wielbłądów, poczem mielą w żarach na mąkę.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 ($3\frac{1}{2}$ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Jan Pankiewicz (z portretem). — Pogadanka z astronomii przez Pawła Trzcńskiego. — Baśń o zaczarowanych królewiczach, wiersz przez Antoniego Lange. — Trzęsienie ziemi w Shillong (z ryc.) — Z wystawy kotów (z ryc.) — Jan Niewdźyd, powieść z dawnych czasów p. Z. Morawską. — Pamiętnik Stefana, przepisała A. Sadowska. — Ze świata. — **Dodatek:** Dobra gospośia (z ryc.) — Kraj uroczy, wiersz przez Franciszka Marzec. — Nieudana majówka przez Zofię Mrozowicką. — Skrzydła odwagi przekład P. Gr. — Łamigłówni i rozwiązania. — **Dodatek książkowy:** Trzydzieści lat wśród dzikich, przygody Ludwika de Rougemont, opracowała dla młodzieży Walerya Marrene.

WIECZORY RODZINNE

DOBRA GOSPOSIA.



Cała Anulka jest zawołaną gospodynią.

Najpierw codziennie po każdym jedzeniu zmiata ze stołu wszelkie okruszyny i wróbelkom je sypie.

Potem od własnego śniadania zostawia kruszynkę cukru dla dziadziwego kanarka i skórkę chleba dla pieska Spinki. Następnie, napoiwszy swoją herbatką burego Kizia, wybiega za mamą do gospodarstwa.

Idą więc do spiżarni, gdzie mama wydaje kucharzowi obiad, a Anulce poślad.

Poślad jest to gorsze ziarno zboża, z którego już nie robią mąki, ale dają domowemu ptactwu.

Anielka bierze cały garniec pośladu i na podwórze go dźwiga. Nadbiegają też zaraz kury z całą gromadą kurczątek i wydziobują rozsypane ziarenka; proszą panienki o nowe; rozpowiadają dzieciom, jak się ziemię rozgrzebuje i robią dużo hałasu. póki nie nadbiegną indyki. Ale tych, (Anielka ma dopiero 5 lat) nasza gospośka boi się! więc zmyka przed wielkim indorem, synnąwszy parę garści pośladu — odczepnego i aż pod samą kuchnię dąży.

Tu siada sobie na schodku i resztę ziarna gołębiom i kogutom sypie.

Te koguty to mądre ptaki, wiedzą dobrze, że przy

kuchni najlepiej pożywić się można i ani ich stamtąd odpędzić.

Anulkę znają doskonale i jak widzicie, nawet z ręki jedzą.

Najstarszy z nich, z ogromnym czerwonym grzebieniem, z grubymi ostrogami podchodzi najpierw, a młodszy, może bracia, a może siostrzeńcy, z uszanowaniem czekają.



Anielka o żadnym nie zapomni — będzie z niej gospodyni — jak powiada stara Wawrzyńcowa.

A. Z.

Kraj uroczy.

Raz nauczyciel w szkole opowiada,
Jakie ciekawe własności posiada
Podbiegunowa, śnieżna okolica;
Jaś się najbardziej tą wieścią zachwyca,
Że pod biegunem noc trwa aż pół roku:
O, jakże kraj ten ma wiele uroku!
Westchnie nareszcie. — Dla czego? spytany,
Odrzekł: dla tego, mój panie kochany,
Że tam są mniejsze niż u nas mozoły:
Bo przez pół roku nie chodzą do szkoły!

Franciszek Marzec.

NIEUDANA MAJÓWKA.

Dzieci było pięcioro: Felek, Zdziś, Mania, Lunia i Broniek. Dwoje ostatnich byli to goście, zaproszeni z powodu wielkiej uroczystości imienin Felka.

Mama obiecała dzieciom urządzić majówkę.

Czas był prześliczny, koszyki spakowane, dzieci biegały po pokoju, skacząc i krzycząc z radości.

Miano jechać na polankę, a potem iść w las z koszykami, pić wodę ze źródła, rozpalać ogień, pleść wianki z liści i kwiatów, bawić się w chowanego i łapanego, a zwłaszcza jeść wysmienity podwieczorek na trawie.

Nagle, gdy służąca już poszła po dorożkę, ni stąd n

zowąd nadleciało ogromne chmurzysko i deszcz lunął, jak z cebra.

Za pierwszą chmurą przyszła druga i trzecia, grzmiało, błyskało się i ulicami płynęły potoki wody.

Dzieci miały wielką ochotę i swoich ócz upusty rze-siste otworzyć! Buzie się pokrzywiły, noski pospuszczały na kwintę i jeżeli odrazu wszystkie nie wybuchły głośnym lamentem, to tylko dla tego, że w głębi serduszek tliła iskierka nadziei, że się może przecież jeszcze wyjaśni!

Zaczęło się chodzenie od okna do okna i upatrywanie choćby najmniejszego skrawka jasnego nieba pomiędzy buremi, spiętrzonymi chmurami.

Mała Lunia ręczyła, że z pewnością już, już się chmurki dzielą i zaraz się wyjaśni, bo gdy błysnęło przed chwilą, było już tak jasno, aż musiała oczy zmrużyć!

Ale mama, po godzinie oczekiwania, zapowiedziała stanowczo, że choćby się teraz całkiem rozpogodziło, to na dziś o majówce już mowy być nie może, bo w lesie wilgoć, błoto po deszczu, więc dzieci mogłyby się zaziębić — zwłaszcza też Lunia, która dopiero co przebyła ciężki koklusz. Żeby jeszcze nie to, inne dzieci mogłyby się choć trochę przejechać, ale Luni narażać niepodobna.

— Teraz dopiero minki się przeciągnęły na dobre, pokazały się i łyzy, chociaż wstyd trochę było do nich się przyznać.

Bronek, jak to się zdarza po świetle brądziskom... mówił do Luni oburkliwie:

— O, ty, ty! nieznośna! przez ciebie wszystko spadło — zawsze przez te dziewczęta!

Lunia obiedwiema piąstkami przyciskała powieki i myślała, że doprawdy jest wielką zbrodniarką.

Słowem położenie było bardzo smutne.

Wtedy Felek, dzielny chłopiec, poczuwając się jako solenizant do obowiązku bawienia swoich gości, zdobył się na wielkie postanowienie: w jednej chwili rozchmurzył czoło i powiedział sobie, że będzie myślał, jakby majówki nie miało być wcale.

Z całą usilnością starał się namówić inne dzieci do takiego samego zapatrywania się na tę sprawę, zaczął wyprawiać różne figle i pokazywać sztuki, których mnóstwo umiał, tak, że nareszcie, swoim dobrym humorem i uprzejmością potrafił rozpogodzić wszystkie w około siebie twarzyczki.

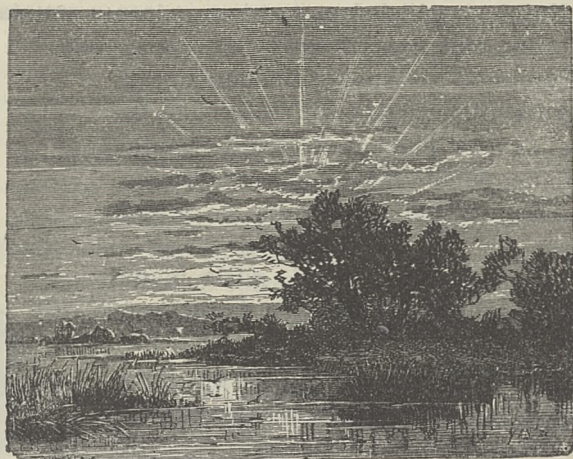
Zaproponował urządzenie wielkiej wojennej wyprawy na Tatarów (bo właśnie czytał dziś rano w „Wieczorach” śliczną powieść, która opowiada dzieje chłopczyka porwanego przez hordę Tatarską).

Mama, chcąc dzieciom czemś osłodzić doznany zawód, pozwoliła na rabunek szczonek, mioteł, ściereczek i starych gazet, z czego zrobiono cały wojenny rynsztunek. — Felek dostał nawet mufkę na głowę, bo walcząc z poganami, chciał mieć koniecznie zawój — i cała wyprawa udała się znakomicie: Tatarów przepędzono za dziesiątą granicę, i odbito cały jassyr — przyczem tylko jeden porcelanowy dzbanuszek na konsolce w salonie padł ofiarą, — ale mama dziś się nawet i za to niegniewała. Potem odbyła się dla zwycięzców wspańska uczta,

a wszystkie dzieci przyznały, że się zabawiły doskonale, chociaż na nieudanej majówce.

Mama uściskała Felka za to, że tak dobrze pojmo-wał obowiązki gospodarza i dla drugich umiał zapanować nad własną przykrością, a na zakończenie obiecała dzieciom, że w przyszłą niedzielę zaprosi im jeszcze więcej towarzyszy i wyda drugą, prawdziwą majówkę, której tym razem, ma nadzieję, — deszcz nie przeszkodzi.

Z. Mr.



SKRZYDŁA ODWAGI.

(Dalszy ciąg).

Wspominał krowy, o które niewiele dbał dawniej, bo mimo woli opanowywała go tęsknota za domem rodzicielskim, a powracać nie miał odwagi, z obawy przed gniewem ojca. Mając zapas chleba na całe dwa dni i nie chcąc za dnia wychodzić z kryjówki, aby go kto nie dojrzał, spać się położył. Obudził się dopiero pod wieczór rzeżki i wypoczęty, a ośmielony panującym zmierzchem wyszedł dla obejrzenia swoich posiadłości.

Począwszy od pustelni ciągnął, się niby ogród umajony zielenią, parów porośnięty trawą. Marcinek puścił się tym wężozem ciekawym, dokąd ta droga prowadzi.

Parów skręcał na prawo, po lewej zaś stronie wąska ścieżka kończyła się wyszczerbionym odłamem starego muru z otworem pośrodku. Marcinek wychylił głowę przez ten otwór i u stóp jego ujrzał szeroko rozlane morze, a w górze blade promienie księżyca, wyglądające z poza ciemnych chmur. Chłopca zachwycił ten widok.

Chciał poznać dalszą stronę krętego wężozu, ale noc już zapadała, przy niepewnym świetle księżyca bał się zapuszczać w miejscowość pełną zdradzieckich szczelin; do następnego więc dnia odłożył dalsze poszukiwania.

A że niebo coraz gęstszymi pokrywało się chmurami, Marcinek podążył do grotu, aby się tam schronić przed deszczem.

Spać mu się jeszcze nie chciało, nudził się w ciemności, ogarnął go smutek; słyszał tylko wicher nadciągającej burzy i szum bijących balwanów. Zasnął wresz-

cie snem lekkim, przerywanym odgłosami grzmotów i deszczu ulewnego.

Gdy się ocknął, burza już przycichła; promienie księżycy padały na trawę u wejścia, na której krople deszczu miały blask zielonawych dyamentów. Wśród ciszy nocnej różne dźwięki dochodziły uszu Marcinka, przypomniały mu one gdakanie kur, gęganie gęsi; to znów głosy jakieś obce, mieszane, które przejmowały go strachem. Raz nawet zdawało mu się, że słyszy głos krawca, przywołujący go do siebie.

Trwoga nie dała mu zasnąć, choć już wszystko uci- chło; z bijącym sercem oczekiwał wschodu słońca. Gromady ptaków morskich, spędziwszy noc na wierzchołkach nadbrzeżnych wzgórz, przeciągały ponad jego głową. Widział zwinne, krążące w powietrzu czajki; różne gatunki drobnych kulików dużego o powolnym locie z szycją ku tyłowi wygiętą — bąka. Nie były to znane chłopcu okazy, w jego rodzinnej bowiem wiosce dla braku stawu i rzeki, nie zatrzymywały się ptaki wędrowne. Przypatrywał im się ciekawie, ale nie przypuszczał, aby ich głosy dochodziły go w nocy i postanowił przekonać się, czy nie znajdzie jakiego mieszkania ludzkiego w pobliżu.

Gdy się już dobrze rozwidniło, wdrapał się na wierzchołek pobliskiego pagórka, ale chociaż pilnie rozglądał się dokoła, nigdzie najmniejszego śladu zamieszkania nie dojrzał. Zaniepokoił się trochę, ale po namyśle, rzekł w duchu do siebie:

— Niech odzywają się tajemnicze głosy, nie będę się ich obawiał; postaram się, aby i mnie, jak mówił wuj Pstrąg, wyrosły w potrzebie skrzydła odwagi.

IV.

Pragnienie dokuczało Marcinkowi; wody wprawdzie nie brakowało; strumienie z różnych stron spływały ku morzu, ale miały nieprzyjemny smak gorzki i gliniasty. Chłopiec, szukając ciągle, znalazł wreszcie źródło z zapachem tymianku, wypływało z pod skały a czystą, jak kryształ woda, sączyła się kropla po kropli. W niewielkiej odległości leżało bardzo dużo muszli, naniesionych kiedyś zapewne przez większy wylew morza.

Wyszukawszy kilka całych skorup, Marcinek postawił je jedna na drugiej około źródła, aby kolejno napełniając się wodą, dostarczyły mu zawsze świeżego napoju. A chociaż na śniadanie miał tylko suchy kawałek chleba, ten chleb z wodą zdrojową smakował mu wyśmienicie.

Czas schodził mu prędko; korzystając z pogody przypatrywał się roślinom, kwitnącym w parowie; były one inne od tych, jakie zwykł widywać na polach i łąkach; rosły tam różne ciernie i pełne kolców zielska, a wśród nich śliczne i pachnące kwiatki.

Pod wieczór zszedł nad brzeg morza i zbierał ślimaki, przeznaczone na wieczerzę, a chociaż nie był to posiłek osobliwy, ale zaspakajał głód, który dokuczliwie uczuwał mu się dawał.

W nocy spał smacznie i nie dochodziły go już żadne tajemnicze głosy.

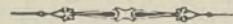
Trzeci dzień poświęcił zwiedzaniu wzgórz okolicznych; zrobił zapas ślimaków w razie, gdyby burza lub inna jaka przeszkoda nie dozwoliła zejść na wybrze-

że, a w końcu zapragnął spróbować szczęścia i upolować sobie jaką zwierzynę. Był zręcznym w rzucaniu kamieni; poszedł więc nad brzeg morza, i po wielu nieudanych próbach, zabił kuropatwę morską, pływającą po wodzie.

Ptak był tłusty, chodziło o to tylko jak go upiec. O rozniecenie ognia nie było kłopotu, Marcinek miał zawsze przy sobie krzesiwko i kawałek hubki, którą ojcu fajkę zapalał. Nazbierał więc chróstu, suchych liści, a zapaliwszy stos, przy tym ogniu upiekł ptaka.

Nie można ręczyć, czy kuropatwa nie była przydy- miona, ale Marcinkowi, po kilku dniach przymusowego postu, wydała się wyborną i żałował, że najlepszych kawałków matce przesłać nie może.

(d. c. n.)



SZARADA.

Kiedy się *pierwsze* z *trzeciem* pomyślnie odbywa,
W swoim czasie obfite następują żniwa,
Drugie jest nutą śpiewną w dobrze znanym tonie,
Drugie z *trzeciem* powstałe w ciemnym ziemi łonie,
Gdy się ku jej powierzchni silnym naprą zwrotem,
Buchają falą ognia z dymem i loskotem,
Wszystko wraz, srebrną łuską migocąc w jeziorach,
Stanowi smaczny pokarm w pewnych roku porach.

ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA.

Niezabudka dla St. K.

Leon, życie, mak, bór, wóz: z tych wyrazów, nie ujmując ani dodając liter, a przedstawiając je tylko w innym porządku, ułożyć znane przysłowie.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Ułożyła Zosia Mar.

Z następujących sylab: al — ba — ca — da — dya — el — ga — giz — inn — i — lon — la — len — mu — na — nia — no — rok — pe — py — row — ru — sa — tyn — tysz — wa — yd — ra. Ułożyć szesnaście wyrazów, których początkowe litery czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko współczesnego słynnego polsk. muzyka. Znaczenie wyrazów: 1) Dopływ rzeki Ob. 2) Dawna nazwa Francji. 3) Dopływ Wisły. 4) Państwo w Europie. 5) Wyspa na oceanie Indyjskim. 6) Miasto w Anglii. 7) Kraj w Ameryce. 8) Łańcuch gór w Europie. 9) Kraj w Europie. 10) Rzeka w Niemczech. 11) Kraj w Europie. 12) Wulkan. 13) Miasto nad rz. Willią. 14) Dopływ Dunaju. 15) Wyspa na m. Śródziemnem. 16) Dopływ Dunaju.

ŁamigłóWka arytmetyczna.

Jaś i Gucio podzielili między sobą 224 orzechy, w ten sposób, że jeden z nich otrzymał tyle razy po 2 orzechy, ile drugi po 5.

Ile orzechów dostało się każdemu z nich?

ROZWIĄZANIA DO N-ru. 18-go.

Szarady: Pło — mie — nie.

Łamigłówek kropkowanej:

Szukajcie prawdy jasnego płomienia!
Szukajcie nowych, nieodkrytych dróg.
Za każdym krokiem w tajniki stworzenia,
Coraz się ludzka dusza rozpromienia
I większym staje się Bóg.

A. Asnyk.

Łamigłówek kryształowej:

S
S t o
D y a n a
W a r c a b y
C i e c h a n ó w
S t a c h i e w i c z
A r c h e o l o g
I r a w a d i
C h i n y
A c h
z

Skrzynka do listów.

Wierny Kolega zadania trafnie rozwiązał, ale do szarady nie dołączył rozwiązania, więc ocenić jej nie możemy, a na odgadywanie czasu nie mamy.

J. B. z Alei Szucha powinien się upomnieć o zaginiony numer w księgarni, w której *Wieczory* odbiera. Rozwiązanie łamigłówek dobre.

Puszczykowi z Pilawy. Poeta i literat Stanisław Grudziński rodem z gub. Kijowskiej umarł w Warszawie, jako redaktor *Tygodnika Powszechnego*, w r. 1884, w młodym stosunkowo wieku; nie należał więc do epoki Mickiewiczowskiej. Wiersz, o który zapytujesz nie jest, zdaje się, jego pióra. Przesłane przez ciebie tłumaczenia wierszem pozostawiają jeszcze wiele do życzenia tak pod względem rymu i rytmu, jak i czystości języka oraz poetyczność wyrażen. Do tłumaczenia utworów obcych trzeba koniecznie wyrobić należyte piękny język poetyczny. Może z czasem do tego dojdiesz.

Kozaczek, Fiołek, Leon J z Kijowa, Kielczanin, Sokół z nad W., przysłali nam różne łamigłówki i szarady własnego układu, które przejrzymy, a dobre rozwiązania zadań z dwóch ostatnich numerów otrzymaliśmy od: **Jelenia, Władzia G., Jadwigi i Eugenii Mach., Skowronka rannego i Malwinki O.**

Poznałam od razu **Lilijka wodna**, że musisz być bardzo dobrą przyjaciółką **Złotej Iskierki**, bo pismo wasze i styl zadziwiająco do siebie podobne, musiałyście się uczyć razem pisać i myśli rozwijać. Na usposobienie twoje marzycielskie i tęskne jedyną radę, jaką ci dać mogę, to praca i pożyteczne zajęcie, ale całą duszą zabrać się do nich potrzeba. Pozbycie się dumy nie polega wcale na upokorzeniu się przed drugimi, ale na sprawiedliwym ocenianiu drugich i siebie.

Iskierkę Złotą żegnam — życzeniem szczęśliwej podróży, mam nadzieję, że pobyt wśród pięknych dzieł sztuki i stokroć piękniejszej natury, dobrze oddziała na twe zdrowie i rozproszy smutne myśli. Podróżowałam sama po Włoszech i miło mi będzie odebrać ztamtąd list od ciebie. A może i **Lilijka wodna** pojedzie razem? **Srebrnej Chmurce** pozdrowienia przesyłam, wraz z zapewnieniem szczerzej sympaty.

Czy **Sarenka z Ublinka** jest całoroczną prenumeratorką? Gdyż tylko takim premium się należy. Tak dłuższe jak i krótsze liściki moich korespondentów są mi równie miłe i na wszystkie chętnie spieszę z odpowiedzią. Za ładny wiersz dziękujemy, szkoda, że poprzednio już kilka w tym rodzaju było drukowanych w *Wieczorach*.

Zagadkę **Chojaka** złożyłam w Redakcyi. Znajduję, mając na względzie, że niedawno nauczyłeś się pisać, iż pismo twoje bynajmniej na nagane nie zasługuje. Bardzo też pochwalam, że starasz się wprawiać w płynne czytanie, bo jest to wielką zaletą, to też zdaje mi się, że będziesz zawsze dobrym i pilnym uczniem.

Listy **Szałwii, Mewy, Szarotki i Władzia** są zawsze takie miłe, poczciwe i serdeczne, że prawdziwą sprawiają mi przyjemność i witam je z radością. Fotografii mojej przesłać wam nie mogę, bo chcę być dla moich miłych korespondentów zawsze tylko **Jaskółką**, a że przyjazną wam jestem i kocham was wszystkich; to chętnie powtarzać będę. Pseudonimy wasze bardzo ładne i wszystkie mi się podobają. Łamigłówki złożone w Redakcyi.

Poznałam już dawniej twe ładne i czytelne pismo, wesolutki **Wichuro**, przeglądając listy nadsyłane do Redakcyi, więc odrązu chcę cię uważać za dawną znajomą i jako do takiej pisywać będę. Za szczególności o sobie i twem rodzeństwie dziękuję; moje mniej jest liczne, ale są też między nami znaczne różnice wieku, ja należę do średnich. Ze sposobu pisania usposobienie twoje bardzo mi się podoba, młodość bez wesołości i śmiechu, to wiosna bez kwiatów, staraj się też nie stracić zasobu wesołości i żywości uczuć w najpóźniejsze lata. Że list twój nie nudny, zapewnić cię mogę uroczyście i nie trzeba czekać postu dla umartwienia się jego odczytywaniem, przeciwnie, stosowniejszy on na pogodne dni majowe.

Polecenia **Elżuni i Romka** z Petersb. spełniłam, 8 rubli na kolonie letnie i łamigłówek ich układu złożyłam w Redakcyi, o wysłanie premium pod wskazanym adresem prosiłam także.

Wonna Różyczka obiecuje przyłączyć się do grona stałych korespondentek, mam więc nadzieję, że w przyszłym liście zechce mnie już zwać *Jaskółką*, a o szanownej pani zapomni, nieprawdaż? Poemat **Słowackiego „Ojciec Zadżumionych”** dostać można w oddzielnej książeczce, w każdej księgarni, w cenie 5 czy 10 kop.

Białej Róży z Blizina odpowiedzieć nie mogę; czy łamigłówka twoja nadaje się do druku, sąd o nich nie do mnie należy, składam je tylko w Redakcyi, gdzie wszystkie nadesłane zadania przeglądają, poprawiają niejednokrotnie i pomieszczają w „*Wieczorach*,” lub też uznają za nieodpowiednie.

Tereni ze Lwowa na każdy list odpisuję, ostatni zatem musiał chyba zaginać, jeżeliś na niego odpowiedzi nie odebrała. Rozwiązania dobre; za pozdrowienie dziękuję, pozdrawiając cię wzajemnie.

Obrazek dramatyczny, o który zapytuje **Kadłubek** w osobnej książeczce dotąd nie wyszedł, tylko w „*Wieczorach*” był drukowany. Rozwiązanie łamigłówki dobre.

Sarze R. z Brzezia postaram się wybrać odpowiednią komedijkę i wyślę ją natychmiast. Bardzo to miła rzecz mieć swój mały teatrzyk i nie dziwię wam się, że z przyjemnością komedijkę grywacie. Za ładnie napisany liścik dziękuję, polecam się nadal twej pamięci.

Jaskółka.

Ogród dla dzieci i młodzieży. Gimnastyka, lawn-tennis, krokiet, gry i zabawy pod kierunkiem nauczycielek; kopanie ziemi, wożenie taczkami, zabawa piaskiem. Aleje Ujazdowskie N. 3. Warunki i zapisy Mazowiecka 5. Zakład gimnastyczny.